



Przeznaczenie.

Mówiąc to, otworzył drzwi i w pokoju ukazał się człowiek, trzymający ręce do góry. Nie oglądając się, podszedł do okna i stanął bez ruchu.

Fretton znów zamknął drzwi.

— Opuśćcie żaluzję — rozkazał ostro. Zbieg szarpnął sznurem i drewniana sztorą upadła. — Obróćcie się.

Więzień posłuchał i kilka chwil w milczeniu patrzył sobie w oczy. Fretton zobaczył wysoką, muskularną postać, ubraną w śmieszny, pasiasty strój galernika. Krótko ostrzyżona głowa była nie pokryta; po twarzy spływały krople potu; zapadłe oczy miały wyraz oczu królika, który widzi przed sobą otwartą paszczę żmii, gotowej, by się na niego rzucić. Odwrócił się, położył rewolwer na zwykłe miejsce w szufladzie i rzekł:

— Usiądźcie, przyniosę wam coś do jedzenia.

Z jękiem, podobnym do tłumionego łkania, zbieg padł na fotel, skurczył się, drgając konwulsyjnie na każdy ułojony odgłos. Fretton, gwiżdżąc, otworzył kredens, wyjął pół funta chleba, talerz i kawałek zimnego mięsa. Zbieg spojrzał na jadło oczyma dzikiego zwierzęcia i rzucił się na nie łapczywie. Aubrey nalał do szklanki spienionego piwa i zapaliwszy fajkę, przyglądał się, jak nieszczęsny pożerał ogromne kęsy od czasu do czasu przerywając, by nasłuchiwać. Wkońcu głód zaspokoił i osunął się na oparcie fotelu z głębokim westchnieniem.

— Lepiej wam teraz? — spytał Aubrey.

— Teraz znowu stałem się człowiekiem, a przedtem z głodu byłem dziłkiem zwierzęciem — brzmiała odpowiedź. I głos i sposób wyrażania się dziwnie nie odpowiadały postaci zewnętrznej.

Dopił resztę piwa i ciągnął:

— Cały dzień kryłem się we mgle; dusił mnie głód, dręczył wszystkie moje siły duchowe i fizyczne, tak, jak może tylko dręczyć głód i trwoga. Boże miłosierny! Gdybym jadł przed ośmioma godzinami, byłbym teraz już daleko — znowu stałbym się tym, czym byłem do dnia, w którym przeznaczenie okrutnie zdradziło z mego życia. Czy pan wierzy w przeznaczenie?

— Wierzę — odparł Fretton.

— Jeżeli Pan chce, to opowiem, jak przeznaczenie wchodziło się w moje życie i doprowadziło mnie do... obecnego położenia rzekł galernik, przeciągając patrzając na Aubreya.

— Proszę.

— Pan mówi, że wierzy w przeznaczenie — ciągnął zbieg — gdyby pan nawet nie wierzył, to zmieniłby przekonanie, gdy mu opowiem swoją historję. Ledwie miesiąc przeżyłem, gdy los zaczął mnie prześladować.

— Ojciec zginął kilka tygodni przed moim urodzeniem, matka zaś umarła, spojrzawszy tylko na mnie raz jeden. Matka — rzekł, zniżając głos, — to słowo często utrzymywało mnie na prostej drodze i nakazywało z niesplamioną ręką iść do walki o życie. Bóg widzi, że nieraz odpychałem pokusy, a nie wie Pan, jak ciężko jest walczyć, gdy się ma przeciw sobie wszystkich i wszystko.

— Rozumiem — rzekł Fretton.

— Bądź jak bądź egzystowałem, żyłem Bóg wie jak. W dzieciństwie pamiętam tylko popychania i uderzenia, a kiedy wyrosłem — okrucieństwa. Nareszcie zdało mi się, że i dla mnie zajaśniało światło słoneczne, lecz przeznaczenie znowu wchodziło się i zdradziło ze mnie boleśnie. Zresztą, poco ja Panu to wszystko opowiadam. Pan nie uwierzy mi, jak nie uwierzyli bezlitosni sędziowie, którzy wydali na mnie wyrok potępiający.

— Nie chcę zmuszać was do zwierzeń — zauważył Fretton — lecz jeżeli to wam ulgę przyniesie...

— Nie wiem, czy mi Pan uwierzy — mówił zbieg powoli — przecież każdy przestępca zapewnia, że jest niewinny.

— Wielu niewinnych potępiono mylnie — odparł Fretton — dlaczegożby nie miał wierzyć, że jesteście jednym z takich?

— Dobrze, opowiem panu wszystko. Kiedy wyrosłem, spotkałem kobietę dobrą i delikatną, spotkałem ją właśnie w najgorszym okresie mego życia. Nie miałem przytulku — dała mi go; karmiła mnie, wychowywała, zastąpiła mi matkę, której nigdy nie znałem. Gotów byłem oddać za nią życie; chętniebym umarł, by pocalić ją od chwili smutku, lub przedłużyć jej życie o jeden dzień. A tymczasem... — rozsmiał się gorzko — posadzono mnie, że zniszczyłem to życie, które kochałem więcej, niż swoje!

— Zabito ją?

— Zabito ją podle, zabił ją nędzny tchórz, wiedząc, że będzie sama. Ciągłe mi się śni, że go duszę, ciągle to widzę we śnie...

— I posadzono was o to przestępstwo? Gdzieście wówczas byli?

— Znowu ręka losu! Wieczorem ta kobieta posłała mnie z pewnym poleceniem. Ponieważ nikomu innemu nie chciała powierzyć tej sprawy; obiecałem jej, że nikomu o tem nie powiem. Spełniałem te same polecenia przedtem i owego dnia również byłem zupełnie spokojny. Wróciwszy o świcie, cichutko poszedłem do swego pokoju, a gdy się obudziłem, ujrzałem policję. Podejrzany byłem o zabójstwo. Na śledztwie spytano mnie, gdzie byłem owej nocy. Milczałem. Nie mogłem objaśnić, dokąd jeździłem, nie naruszając tajemnicy zmarłej.

Osadzono mnie i skazano na powieszenie. Mówiąc ze mną, sędzia rzucił mi, bym pojechał się z Bogiem i zrzucił maskę niewinności. Nikt nie wiedział, dlaczego miałem taki wyraz twarzy. Mówiłem sobie, że ona wie o mej niewinności, że patrzy na mnie z nieba, o którym mówiła z taką miłością. Oto dlaczego byłem tak spokojny podczas sprawy. Nie powiesili mnie; skazano mnie na śmierć za życia, i w więzieniu myślałem tylko o ucieczce. Nie dla siebie żądałem swobody; chciałem odkryć nędznika, który ją zabił...

(D. c. n.)

O „Beniowskim“.

Obok „Pana Tadeusza“ najpiękniejszą, najrozkoszniejszą lekturą poetycką jest „Beniowski“, Słowackiego.

Jak w arcydziele Mickiewicza, tak i w tej osobliwej epopei jego nieśmiertelnego rywala, umysł czytelnika, żądny najwyższego patosu uczuć ludzkich, a zarazem słonecznego humoru i jowialności — znajduje dla siebie nieprzebrane źródło upojenia.

Ale w „Beniowskim“ jest jeszcze jedno, czego w „Panu Tadeuszu“ niema: muzyka dysonansów. Są w nim zgrzyty, ironie i złośliwości i sarkazmy i gorące polemiki i jady złośliwości i niebezpieczne dla otoczenia harcowanie rasowego dowcipu. Pan „Tadeusz“ jest poematem epicznym, „Beniowski“ — bojowym, tamten wielki bój opiewa — ten wielki bój stacza, osobiście, bój o własną miłą księżycą w poezji. Tamten jest obiektywny i zna tylko jedną podmiotowość — własny, cudny entuzjazm dla piękna i fantazji zachodzącej Polski szlacheckiej, usymbolizowanej w „Ostatnim Zajeździe na Litwie“ — jak opiewa drugi tytuł, ten zaś jest nawskroś subiektywny. Tamten błogostawi zanikającemu pokoleniu pługa i miecza, ten przeciwstawia się całej generacji Mickiewiczowskiej.

„Pan Tadeusz“ jest złością spokojną a monumentalną, jak ojczyzna, jak historia, jak wiekopomne nadzieje, związane z imieniem Napoleona, jak natura sama i wieczność co przez nią przemawia, „Beniowski“ zaś rwie się, szarpie, zatamuje i znowu do nieba wznosi, jak burza lub jak wzburzona dusza ludzka.

Poemat więc niedokończony Słowackiego posiada więcej strun napiętych, niż „Pan Tadeusz“, choć nie ma jego marmurowej spistości, ładu i skończoności. Jeżeli wielki jest czar kompozycji obmyślonej i według planu przeprowadzonej od pierwszego do ostatniego wiersza — to niemińszym jest urok poematu, co się sam

z siebie ciągle rodzi w oczach czytelnika jest wielką suitą błyskawic i gromów natchnienia, podniecenia i improwizacji. Słowacki w „Beniowskim“ oszalał na nas nagłością zwrotów myśli, przeskokami od rzeczy osobistych do narodowych, od gniewu Apolinowego do tęsknej liryki, od groźnego chrzęstu oręża literackiego do siodła wspomnień pierwszej miłości.

Przypomnijmy chociażby taki kontrast, oto w pieśni czwartej wybuch potężnej wzdargy wobec intryg i perfidji kliki, która poetę w Paryżu, rzekomo z przekonania i w hołdzie dla Mickiewicza — przekreślić chciała.

A więc niech wszystko mijaj! Wstańcie burze! I zwićcie mój ślad z tej smętnej pustyni I moje myśli jak łez pełne kruże.

Przechylcie, niech je próżnemi uczyni Czas. — Wszak stawałem na niejednej górze, Blżej plorunów, niż gałę, co ślini Pocelukami nawet twarz człowieka; Blżej chmur, co grznią — niż ludu, co szczeka.

I dziś od ogniów Boskich w dół zepchnięty, Z piramidy czoła, z wulkanicznych szczytów, Cierpie — lecz jeszcze gardzę. I ten ścieży Rzym, nieraz kasa was aż do jelitów, — I płynie jako szalone okręty Z fal odrzucany do niebios błękitów itd.

A oto jedna z dygresji lirycznych, poświęcona „Kochance pierwszych dni“, Ludwice Śniadeckiej. Zajmuje ten przedziwny śpiew miłości dziewięć ostatnich oktav tejże pieśni czwartej. Chciałoby się przytoczyć wszystkie, są bowiem strofami takiej muzyki i takich drgnień spowiedzi, że śmiało może je postawić na szczycie całej liryki polskiej romantycznej:

Patrzaj! powracam bez serca i sławy
Jak obłąkany ptak i u nóg leżę,
O! nie lękaj się ty, że tabędz krwawy
I ma na piersiach rubinowe pierze —
Jam czystyl — głos mój wśród wichru i wrzawy
Ślęczałaś... w równej wstrodze strojny mierze...
U ciebie jednej on się łez spodziewał,
Ty wiesz jak muszę cierpieć — abym śpiewał.

Idź nad strumienie, gdzie wianki koralów
Na twoje włosy kładła jarzębina, —
Tam siadź i słuchaj tego wichru żalów,
Które daleka odnosi kraina, —
I w pieśń się patrzaj tę — co jest z opalów,
A więcej kocha ludzi niż przeklina.

O pomyśl, czy ja duszę mam powszednią?
Ja — co przebiegłszy świat — kochałem jedną.

I przypomnijmy też te sławne ciosy, z pieśni V, wymierzone w Mickiewicza, pełne pietyzmu dlań ale nieubłaganie krytyczne. Tam Słowacki daje do zrozumienia, że wielki wieszcz, z którym walczy, jest piewcą przeszłości, gdy on sam śpiewa dla przyszłości

Kocham Lud więcej, niż umarłych kości...
Kocham... lecz jestem bez łez, bez litości.

Dla zwyciężonych. — Taka moja zbroja
I takie moich myśli czarnoksiężstwo;
Choć mi się oprzesz dzisiaj? przyszłość moja!
I moje będzie za grobem zwycięstw!
Legnie przedemną twych poetów Troja,
Twe Hektorowe jej nie zbawi męstwo.
Bóg mi obronę przyszłości poruczył; —
Zabiję — trupa twego będę włóczył!

A sąd zostawieć wiekom. — Bądź zdrow, wieszczu!
Tobą się kończy ta pieśń, dawny Boże —
Obmyłem twój laur w słów ognistych deszczu,
I pokazałem, że na twojej korze
Pęknięcie serca znać — a w liści dreszczu
Widać, że ci coś próchno duszy porze;
Bądź zdrow! — A tak się żegnają nie wrogi,
Lecz dwa na słońcach swych przeciwne Bogi.

Oczywiście, to zakończenie przywraca majestat Mickiewiczowi, gdy rymy poprzednie nieraz są tego majestatu obrazą. W Słowackim mocuje się cześć z szyderstwem, — między cięcia szpady padają na przeciwnika kwiaty. Ale, brzmienie tych śmiałych słów jest niezrównanej mocy i piękności.

Cez. Jellenta.